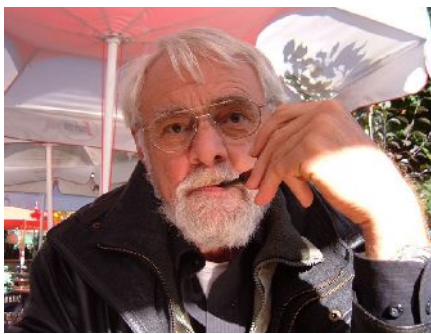


Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Goethe w Piwnicy Auerbacha (2)

Istotnie, sale nagle opróżniły się z gości. Kelnerzy składali na blacie bufetu szkło znośzone z kątów piwnicy. Zostaliśmy sami i był środek nocy. A czym jest smutek w środku nocy? Jest brakiem sensu. Brak sensu jest brakiem myśli. Brak myśli zamyka przed nami świat. Zamykamy się też z tego powodu w sobie. Milczymy nawet wówczas, kiedy czterech roślących drabów wyprowadzało nas z sali, prawie niosąc po schodach. Nie mieli żadnych względów wobec największego poety wszystkich Niemców. I wobec wyczynów Fausta, który ponoć nie stronił od doczesnych uciech. I to było dla nas pociechą, kiedy już znaleźliśmy się na ulicy. W pewnej chwili Wolfgang pokazał ręką szybującego na niebie uczonego, na plecach którego siedział Mefistofeles. Beczka dziwnie fosforyzowała, ludzie stali wokół z zadartymi głowami. Nie wiem dlaczego, ale w pewnym momencie zacząłem śpiewać głośno: Bóg się rodzi... moc truchleje, na co Wolfgang wrzasnął mi do ucha: „Przeستاń! Zamknij ryj, jak wy to mówicie. To jest Oktoberfest, gdzie Niemcy się bawią, wypijając hektolitry piwska. Bawmy się!”.

Uciszył mnie, tańcząc teraz w korowodzie też roztańczonych widzów tego podniebnego zjawiska siedzących na becze aktorów. On był jednym z nich, przyjmując oklaski i wiwaty. Przed chwilą jeszcze go podtrzymywałem, chwiejącego się na nogach. Wołał w moją stronę: „Patrz, przyjacielu! Niebo i ziemia pozostały takie same jak przed dwustu laty! Wszystko się zmieniło, a ziemia i niebo nie. Bawmy się!”.

Dla mnie to niebo nad tym roztańczonym tłumem i to miasto z duszącym smogiem, filtrującym nocne powietrze, było niczym ciężka, ołowiana tkanina. Turyści chcieli fotografować się z Goethem, któremu ten cały ubiór nieco sflaczał, tracąc kolory w świetle ulicznych latarni. Po prostu Goethe wyglądał śmiesznie. Było go nawet żal. Nie pasował do tego tłumy i wyrwałem go siłą z niego. Podtrzymując ramieniem, poprowadziłem, krętą uliczką ślaniającego się na

nogach w kierunku Bismarckstrasse, gdzie mieszka mój stary przyjaciel, Darek. Był tak zwanym pochodzeniowcem, kiedy rozszedł się z żoną, przeniósł się z Hannoveru do Lipska. Stąd miał, jak mawiał, bliżej do swoich. Kamienice miały podświetlone numery, ale jak dotąd nie zmieniono nazw ulic. Minęliśmy sklep, gdzie Darek brał na krechę. Biały napis na czerwonym tle głosił: „Polnische Lebensmittel”. Polak Polakowi bratem w potrzebie. W końcu dotarliśmy pod drzwi jego piwnicznej nory. Kiedy nam otworzył drzwi po długiej chwili, weszliśmy w półmrok i Darek taką samą miał twarz. Szara i jakby zmaliała. Uczynił charakterystyczny gest, który mówił: wejdz, stary. W pierwszej chwili nie zauważył stojącego za moimi plecami Wolfganga, a potem widać było, że nie był zadowolony z racji przyprowadzenia ze sobą Wolfganga.

Nie oczekiwałem też przypływu miłości do mnie z jego strony, nie czując się dotkniętym chłodnym przyjęciem. Taki już był odcisk go znałem. Obrót powracającego czasu. Ten jego wysłużony, wyszarzały golf i jeszcze bardziej zgniły kolor jego zielonej kamizelki. Jakby zatrzymał się czas. Chyba go obudziliśmy, więc musiał ruszyć się z wyra, podejść do drzwi, sprawdzić przez wizjer kto zasz i co reprezentuje sobą. Nic dziwnego, że tak długo sterczeliliśmy pod drzwiami. Nie musiałem tu przyjść, bo obu nam trzeszczały łby po tym winie prosto z beczi. Darek też był pod gazem, zalatywało od niego skwaśniałym piwem. Coś mamrotał przez zęby o późnej wizycie. Siedział na wyrku ze spuszczoną głową. Cóż, upijanie się rozbije nas na cząstki, trzeba się potem długo i mozolnie sklejać i najlepiej robić to w swoim łóżku. Teraz sięgnął po pudełko z papierosami. Zapalił i dopiero potem, podsunął nam pod nos to, co w nim było:

– Oczyszćcie sobie płuca, koledzy.

– Nie mogę, zaraz się wyrzygam. Lepiej będzie jak znajdziesz puszkę piwa – powiedział Wolfgang, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść.

– Nie znajdę. Trzeba zejść w dolinę i kupić. Ale nie mam ani feniga. Miałem ostrzegawczy sen, żeby nie wpuszczać tu takich, jak wy, drobnych pijaczków. W zasięgu literatury są tylko tacy zapijaczeni faceci, tonący w gąszczu kłopotów życia...

– Nie pierdol, braciszku! Ci zapijaczeni faceci mają w tym swój cel. Wiesz do kogo mówisz? Jestem Goethe, cymbale!

– A ja jestem Mefistofeles! I nauczę cię poprawnej polszczyzny, choć jestem tylko przyszywanym Niemcem. To piękny język...

– Przestańcie, do cholery! – wrzasnąłem na nich obu, podrywając tym sposobem Darka z wyra. – Po pijaku wszystko jest zbyt łatwe, aby miało jakiś smak prawdy, choćby półprawdy. Zbierajcie się, idziemy! Postawię wam piwo w tej budzie przywiezionej tu z Bajerów.

Darek nawet się nie przebrał. Wolfgang poprawił przy lustrze swój strój. Mamrotał coś o powrocie do ubóstwa nadającego wartość i smak życia wszystkim takim skrabipiórkom. Nieśliśmy przez miasto ławę milczenia, a wokół kipiało nocne życie. Niemcy potrafią się bawić. Dwóm opasłym Bawarczykom przy

wejściu zameldowaliśmy swoją obecność. Przyglądali się nam podejrzliwie, mnie i Darkowi. Wolfganga pokleпали jowialnie po plecach. „Baw się dobrze, Goethe!”.

Ogromny namiot wypełniany był po brzegi. Na scenie bawarska orkiestra ośmiu roślących muzyków w tych tradycyjnych strojach, wykonujących te ich fikołki. Ręka, nóżka, klaps i obrót.

Zajęliśmy miejsca przy wolnym stoliku. Wybrał to miejsce Wolfgang. Było najbliżej jednego z wyjść. Stoliki nakryte były kracystymi obrusami. Zamówiłem u kelnerki trzy fazy piwa w wielkich kufkach z wizerunkiem Fredricha von Schillera urodzonego w Marbach. 10. November 1799 roku. W wiszącym przy uchwycie certyfikacie ku radości Wolfganga, stało tam napisane, że Johann Christoph Friedrich Schiller we wrześniu 1788 roku pierwszy raz spotkał się z Goethe. Wolfgang westchnął, spoglądając badawczo w twarz Darka, z potem stwierdził, że mój przyjaciel jest jota w jotę podobny do Schillera, gdyby tylko zrzucił z siebie swój fatalny ubiór. Parsknęliśmy śmiechem, czym zwróciliśmy uwagę sąsiednich stolików. I wtedy nieoczekiwanie dla nas, Wolfgang wdrapał się na stół i unosząc wysoko prawą rękę, krzyknął na cały głos: Heil, Hitler! Mnie zatkało, kiedy powtórzył to trzykrotnie, wyciszając nawet orkiestrę i tumult panujący przy stolikach. Zobaczyłem jak z oddalonych od nas stolików, mężczyźni i kobiety dobrze już rozbawieni, stając na krzesłach i ławkach, małpując gest Wolfganga, ryczeli dosłownie... Zieg Hai! Zieg Hai! Orkiestra natychmiast za sprawą bębnow, kotłów, piskiem trąbek i puzonów, usiłowała zagłuszyć to wszystko. Widziałem, że przy wejściach zakotłowało się od sił porządkowych, ale na szczęście my mieliśmy wolną drogę ucieczki. Biegliśmy co tchu przez plac, skręcając w wąską uliczkę, na szczęście pustawą. Wolfgang zdyszany głosem krzyczał w naszą stronę rozbawiony, że biegniemy w złym kierunku, w kosmos, w jego czarną otchłań. Jego strój wyraźnie utrudniał mu bieg. Słyszałem jego głos coraz słabszy, że oto otworzył nam oczy na prawdę o Niemcach. „Tacy są! Są w nich różne sprzeczne emocje, udręka swoją historią i radość, że ona mija. Jest cierpienie i szczęście, rozpacz i nadzieja, niepokój obezwładniający, ale też podniecający. Co dalej... co dalej!”.

Zawróciłem, aby mu pomóc, bo upadał z sił. Oddychał ciężko, wskazując na wejście do jakiegoś kościoła. Darek zniknął nam na jakimś zakręcie i zostaliśmy sami. Drzwi kościoła były zamknięte na amen. „Widzisz, nawet nasz Kościół zamyka bramy na prawdę”.

Siedzieliśmy na kamiennych schodach, dysząc ciężko. – Widzisz, mój przyjacielu – rzekł, obejmując mnie ramieniem. – Nadzieja naprawdę posiada wiele pytań, ale też powiększające się coraz bardziej... rozdarcie. Szkoda, że Niemcy nie potrafią tego odczytać...

KONIEC

Kazimierz Ivosse